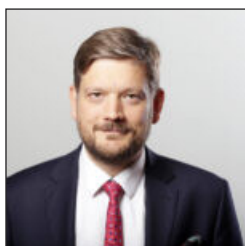


Tym razem nie będziemy „zieloną wyspą”

**Z Ignacym Morawskim
rozmawia Stefan Sękowski**



IGNACY MORAWSKI

pomysłodawca projektu i szef zespołu SpotData. Przez wiele lat pracował w sektorze bankowym (WestLB, Polski Bank Przedsiębiorczości), gdzie pełnił rolę głównego ekonomisty. W latach 2012-16 zdobył wiele wyróżnień w licznych rankingach, zajmując m.in. dwukrotnie miejsce na podium konkursu na najlepszego analityka makroekonomicznego organizowanego przez „Rzeczpospolitą” i Narodowy Bank Polski. W 2017 roku znalazł się na liście New Europe 100, wyróżniającej najbardziej innowacyjne osoby Europy Środkowej, publikowanej przez „Financial Times”.

Polityka fiskalna przed obecnym kryzysem mogła być prowadzona lepiej, ale nie sądzę, by znacząco wpłynęła na dzisiejszą inflację. Natomiast dziś jest prowadzona ewidentnie źle

Stefan Sękowski: Ponoć pesymista to ktoś, kto mówi „gorzej być nie może”, a optymista „oj może, może”. Jesteś pesymistą czy optymistą, jeżeli chodzi o stan polskiej i światowej gospodarki?

Ignacy Morawski: Jeśli przyjmujemy tę definicję, to jestem zdecydowanie optymistą. Nie wydaje mi się by czekał nas najgorszy rodzaj kryzysu, czyli powtórka z lat trzydziestych czy kryzysu finansowego. Wydaje mi się, że nie podążamy najgorszym z możliwych do wyobrażenia scenariuszy.

Zarówno indeks PMI wskazujący, jakie są nastroje menedżerów, jak i wskaźnik ufności konsumenckiej są dość niskie. Wielu ekonomistów wieszczy potężne problemy, przykładowo Nouriel Rou-

bini. Dlaczego nie dzielisz tych obaw?

Przede wszystkim spodziewam się recesji w Polsce i na Świecie. Na świecie nie będzie może spadku PKB, ale bardzo wolny wzrost. W Polsce w przyszłym roku trudno będzie nam osiągnąć wzrost gospodarczy powyżej 1-2 procent. Możemy doświadczyć wzrostu bezrobocia o 2 punkty procentowe, czyli do jakichś 5 procent (wg Badania Aktywności Ekonomicznej Ludności).

Nie brzmi to jak tragedia.

Tragedii nie będzie, chociaż będzie to odczuwalne. W ciągu ostatnich stu lat najgorsze rodzaje kryzysu były związane z trzema czynnikami. Pierwszy to wojna,

destrukcja materialna, ale zakładam, że ona do nas nie dojdzie. Drugi to polityka gospodarcza, która pogłębia kryzys, jak w latach 30-tych XX wieku. Trzeci rodzaj czynników to bańki spekulacyjno-kredytowe, czyli sytuacje, w których ceny aktywów są sztucznie pompowane przez akcję kredytową. Później dochodzi do przegrzania, odwrócenia cyklu i po bardzo szybkim wzroście gospodarczym do gwałtownego spadku. Wydaje się, że nie mamy dziś z tym do czynienia. Rządy się bardzo zadłużyły, ale prawdopodobnie nie będą musiały się delewarować. Czynniki, które wcześniej wywoływały potężne kryzysy, dziś nie oddziałują. Raczej mamy do czynienia z czkawką po pandemii, która razem ze wzrostem cen energii wywołała pewien impuls inflacyjny, powodujący podwyższenie stóp procentowych – i to prowadzi nas do recesji.

Płacimy frycowe za lockdowny i ratowanie gospodarki w czasie COVID-19?

Zdecydowanie. Ostatecznie pomogliśmy gospodarce za bardzo, przy czym mówiąc: my, nie mam na myśli: my dwaj albo my, w Polsce, ale my, ludzkość. Zwłaszcza Stany Zjednoczone, bo tam te pakiety pomocowe były największe. Już na początku było wiadomo, że będzie trudno odpowiednio skalibrować ten pułap pomocy, tak żeby uratować gospodarkę przed trwałą zapaścią i jednocześnie nie podnieść inflacji. Okazało się, że zrobiono za dużo. Nie przewidziano tego, że gospodarka nie będzie gotowa do absorpcji tych środków. W czasie pandemii spadł potencjał produkcyjny – nie tylko ze względu na lockdowny, ale także choroby pracowników czy zamykanie niektórych zakładów. Zmieniła się struktura konsumpcji. Jedne branże nie nadążały za zaspokajaniem popytu,

inne utraciły na pewien czas jego wielkość, na przykład linie lotnicze. Lotnictwo zredukowało zatrudnienie, sądząc że będzie to trwało 5 lat, ale popyt wrócił szybko i teraz nie mogą sobie z tym poradzić. Jednocześnie dochody były utrzymywane na dotychczasowym poziomie dzięki transferom fiskalnym. Szybciej wyszliśmy z pandemii niż się spodziewaliśmy. Nie oczekiwano, że ludzie tak prędko o niej zapomną i zaczną wydawać wcześniej zaoszczędzone pieniądze. Z kolei przy braku towarów zachęciło to firmy do ich akumulacji, a to z kolei klientów do rzucaenia się na towary.

Ludzie bali się, że ich zabraknie.

To dodatkowo podbiło inflację.

Może nie należało wprowadzać lockdownów i pompować pieniędzy w gospodarkę?

Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, czy można było nie robić lockdownów. Ja byłem ich zwolennikiem, uważałem, że musimy się w ten sposób chronić przed zjawiskami, na jakie nie jesteśmy etycznie gotowi – ludzi umierających w domach, bo nie są do nich w stanie dojechać karetki. Nie wiem, czy tak by było, ale wówczas wiele na to wskazywało. Dyskusja czy reakcja była dobra, będzie się toczyć jeszcze latami na całym świecie, ale nie wydaje mi się, by istniała wówczas inna ścieżka. Z ekonomicznego punktu widzenia, mając pewność wsteczną, wydaje się, że trochę przereagowano, zwłaszcza w USA. Nie sądzę, by w 2020 roku można było zostawić gospodarkę samej sobie. Konsekwencje społeczne byłyby wówczas dużo gorsze niż to, co dziś obserwujemy. Doprowadzilibyśmy do destrukcji poten-

cjału produkcyjnego na bardzo dużą skalę. Natomiast błędem był pakiet stymulacyjny Joe Bidena z wiosny 2021 roku. To były transfery fiskalne o wartości 10 procent PKB, które były wprowadzane, gdy pandemia już przygasła. Ja wtedy mówiłem, że to jest dobry pakiet. Że w takiej sytuacji powinniśmy podnieść podaż produktów i usług do góry. Ale to było błędne myślenie. Popyt podniósł się znacznie bardziej niż oczekiwano, spadła stopa oszczędności, a strona podażowa jakoś bardzo się nie podniosła.

W Europie wprowadzano program „Next Generation”, ale on był rozłożony na 4-5 lat. Amerykanie skumulowali pakiet o wartości 10 procent PKB na przestrzeni dwóch lat

I to miało tak duże znaczenie dla globalnej gospodarki?

Impuls popytowy wywołany przez pakiet stymulacyjny Bidena był główną przyczyną inflacji na świecie. Bez niego inflacja byłaby podwyższona, ale nie aż tak.

Przecież wszyscy pompowali pieniądze w gospodarkę. A nawet jeśli powiemy, że USA to największa gospodarka świata, więc to, co się tam dzieje, ma większe znaczenie, niż działania w innych krajach, to jednak w rezerwach walutowych nie widać dużego przyływu dolarów.

W 2020 roku robili to wszyscy, ale w 2021 roku patrzyli raczej, jak tu przyoszczędzić. W Europie wprowadzano program „Next Generation”, ale on był rozłożony na 4-5 lat. Amerykanie skumulowali pakiet o wartości 10 procent PKB na przestrzeni dwóch lat. Nikt nie zrobił tego w takim stopniu. Po drugie, pakiet stymulacyjny nie oznaczał tylko wpływu środków na zagraniczne rachunki. USA oddziaływały na świat przede wszystkim przez wzrost popytu na towary. To widać po amerykańskiej sprzedaży detalicznej, która w 2021 roku bardzo mocno wystrzeliła do góry. Skądś Amerykanie musieli brać te towary. W pewnym momencie zaczęło brakować komponentów do samochodów, elektroniki, wszystkiego. Każdy, kto kupował coś większego, doświadczył braków w sklepach. Ale to też przełożyło się na wyższe ceny energii. Podaż energii zawsze dostosowuje się wolniej do cyklu koniunkturalnego. Jak Amerykanie kupowali produkty w Azji, to tam potrzeba było więcej gazu, którego z kolei zaczęło brakować w Europie, której produkcja też zaczęła rosnąć, co z kolei przełożyło się na wyższe ceny prądu. To wszystko działo się w warunkach zwiększonego popytu wynikającego z realizacji odłożonych wydatków konsumpcyjnych. Oczywiście sami Amerykanie nie odpowiadają za całą światową inflację, ale oni zrobili w jej kierunku najwięcej.

Za jaką część globalnej inflacji odpowiadają Stany Zjednoczone?

To bardzo trudne pytanie. Żeby na nie odpowiedzieć musiałbym na wiele tygodni odłożyć moje obowiązki, by przeprowadzić skomplikowaną analizę ekonometryczną. Ale przekonuje mnie to, że właśnie w marcu i kwietniu 2021 roku firmy przemysłowe

zaczęły podnosić ceny, raportować braki towarów, a sprzedaż detaliczna w USA skoczyła. Czyli wtedy, gdy chwycił bidenowski impuls. A kilka miesięcy później, późnego lata 2021 roku zaczęła się akumulacja zapasów firm, które czując, że już nie mają towarów, zaczęły napełniać magazyny.

Może nie było możliwe uniknięcie błędu Bidena, bo tego domagali się wyborcy?

Sądzę, że w USA – ale nie tylko – przez długi czas prowadzono politykę faworyzującą niską inflację kosztem bezrobocia. Bardzo trudno jest utrzymać minimalną inflację i maksymalne zatrudnienie. Od lat 80-tych XX wieku zdecydowanie preferowano ryzyko wyższego bezrobocia. Przesadzono ze strachu przed inflacją. To doprowadziło do wyboru Donalda Trumpa na prezydenta, brexitu i fali populizmu. Teraz ludzie odpowiedzialni za politykę gospodarczą powiedzieli: bilans ryzyk przesuniemy w drugą stronę.

Ale bezrobocie w USA nie było, do czasu kryzysu w 2008 roku, specjalnie wysokie. Od połowy lat 80-tych XX wieku było jednocyfrowe, a od połowy lat 90-tych XX wieku nie rosło praktycznie powyżej 5-6 procent.

Zgadzam się, USA to nie Europa. Ale mimo to zdarzały się kilkuletnie okresy, kiedy stopa bezrobocia przekraczała 5 procent. To zjawisko było widać szczególnie po kryzysie finansowym w 2008 roku. Dodatkowo widać przesunięcie w strukturze dochodów, zyski przedsiębiorstw rosły znacznie szybciej niż wynagrodzenia. Narastało przekonanie, że siła przetargowa pracowników jest za niska.

Także dlatego, że nikt nie podjął ryzyka, by ściąć bezrobocie. Mając to na uwadze politycy podczas kryzysu wywołanego lockdownem postanowili zadziałać inaczej. Po drugie – narastało przekonanie, że polityka stymulowania popytu może wpływać na podaż. Że dzięki temu pojawi się więcej inwestycji, więcej ludzi wejdzie na rynek pracy. W publicystycznym wymiarze głosiła to Mariana Mazzucato, która uważała, że polityka wydatków publicznych generuje innowacje.

Już w zeszłym roku ceny energii rosły nie tylko ze względu na wzrost popytu, ale także ze względu na ograniczenie podaży surowców z Rosji

To okazało się błagą?

Zobaczymy. Możliwe, że gdyby stimulus Bidena miał wartość 4 procent. PKB a nie 10, to wszystko by zadziało. Może inflacja nieco by wzrosła, w USA do 4-5 procent, w Polsce do 7-8, a nie 17, ludzie by się trochę powkurzali, ale nie byłoby takiej afery, jak dziś.

Czy Rosja także dołożyła swoją cegiełkę? A może gdybyśmy nie wspierali Ukrainy sankcjami wobec Moskwy, nie byłoby problemu?

Wojna jest istotnym czynnikiem, ale nie najistotniejszym. Przede wszystkim ze względu na skok ceny energii. To dotyczy

głównie Europy, ale nie tylko. Już w zeszłym roku ceny energii rosły nie tylko ze względu na wzrost popytu, ale także ze względu na ograniczenie podaży surowców z Rosji. To się nasiliło po agresji na Ukrainę. Szok energetyczny na pewno wpływa na recesję. Pytanie o inne podejście do wojny jest pytaniem o politykę. Bez sankcji zmniejszyłoby się ryzyko szoku energetycznego, ale zwiększyło ryzyko wojenne. Nie sądzę, by Rosjanie z góry zakładali, że po zdobyciu Ukrainy pójdą dalej, ale gdyby im to poszło łatwo, to takie ryzyko byłoby większe. Gdybyśmy odpuścili Ukrainę, mielibyśmy powtórkę z Monachium.

Wyższe ceny za energię to cena płacąca za uniknięcie tego scenariusza.

Nie jest wykluczone, że Rosjanie sami by podjęli decyzję o ograniczaniu dostaw surowców do Europy. Więc lepiej było wykonać ten krok jako pierwsi.

COVID-19, wojna – czy są jeszcze jakieś przyczyny pogarszającej się sytuacji gospodarczej?

Nasza rozmowa toczy się głównie w kontekście globalnym, ale Polska jest częścią światowej gospodarki. Przy czym są też elementy wewnętrzne. W dyskusji gospodarczo-politycznej winą za rosnącą inflację obarcza się rząd i Narodowy Bank Polski.

Słusznie? Zaczniemy od rządu.

W porównaniu do czynników zewnętrznych, o których już mówiliśmy, czynniki wewnętrzne są na trzecim, czwartym miejscu. Ale są ważne. Polityka gospodarcza w Polsce mogła wpływać na inflację, ponieważ była nadmiernie skupiona na sty-

mulowaniu gospodarki, na polityce popytowej.

500+ i inne wydatki pompują inflację?

Niekoniecznie. Polityka fiskalna, transferów, wcześniejsze emerytury, prowadzona przed kryzysem, nie była ważnym czynnikiem proinflacyjnym. Struktura wydatków nie odgrywa aż tak znaczącej roli w zapewnianiu równowagi makroekonomicznej jak deficyt fiskalny. Ocena, które wydatki są prorozwojowe a które antyrozwojowe, które podnoszą potencjał gospodarki i są tym samym antyinflacyjne, a które go obniżają i mogą być proinflacyjne, jest bardzo trudna, bo inwestycje mogą być kompletnie nietrafione, a transfery społeczne mogą podnosić kapitał ludzki, jeśli pozwalają dzieciom lepiej się odżywiać, dojeżdżać do szkoły albo rodzicom kupować książki. Istotny jest deficyt fiskalny, a pod tym względem nie mieliśmy problemów.

Bo wydatki były wypychane poza budżet do różnych funduszy.

Są też europejskie statystyki, które uwzględniają wszystko, co istotne i tam nie było widać, by deficyt eksplodował. Przeciwnie: powoli spadał. Akceptuję argument, że należało bardziej ograniczyć deficyt. Nie sądzę jednak by w polityce fiskalnej przed kryzysem popełniono drastyczne błędy.

Deficyt to różnica między wpływami a wydatkami. Wpływy rosły w dużej mierze dzięki wzrostowi gospodarczemu, solidnych nowych źródeł dochodu nie tworzono. A jeśli teraz wzrost PKB spadnie, to wpływy też spadną – chyba, że inflacja je podniesie.

Nasz rząd bardzo skorzystał na globalnej koniunkturze, ale jednocześnie spadały koszty obsługi długu, co robiło miejsce w budżecie. To dawało 1 procent PKB rocznie. Można powiedzieć, że spadek obsługi długu finansował cały program 500+ bez pierwszego dziecka.

Dzięki wzrostowi zaufania do państwa?

Nie – dzięki globalnemu trendowi spadku stóp procentowych. Ale teraz to już przeszłość. W każdym razie: polityka fiskalna przed obecnym kryzysem mogła być prowadzona lepiej, ale nie sądzę, by znacząco wpłynęła na dzisiejszą inflację. Natomiast dziś jest prowadzona ewidentnie źle. Mamy strukturalny wzrost potrzeb wydatkowych: obrona narodowa, zdrowie, prawdopodobnie wzrost kosztów obsługi długu publicznego, transformację energetyczną, wiele innych potrzeb. A my obniżamy podatki. Generujemy niedobory w budżecie, które jest w stanie zasypać głównie inflacja. Ta nierównowaga pojawiła się szczególnie na początku tego roku, a zwłaszcza w marcu 2022 roku, kiedy zapowiedziano obniżenie niższą stawkę podatku PIT z 17 do 12 proc, co wydaje mi się totalnym błędem.

A co z polityką monetarną?

Znów, trzeba ją podzielić na politykę przed i po pandemią. Wydaje się, że wcześniej polityka monetarna mogła być trochę ostrzejsza. Trzymaliśmy stopy procentowe na poziomie 1,5 procent przy inflacji, która zbliżała się do 3 procent. Pewnie należało wtedy podnosić stopy, ale nie wydaje się, że to był oczywisty błąd. Nie wszystkie parametry wskazywały, że wzrośnie inflacja. Rosły płace, ale rosła

też produktywność. Nie było przeinwestowania, równowaga gospodarki była bardzo wysoka, mieliśmy zbilansowany rachunek obrotów bieżących. Ale już w 2021 roku bank centralny zaczął popełniać główny błąd.

Mamy strukturalny wzrost potrzeb wydatkowych: obrona narodowa, zdrowie, prawdopodobnie wzrost kosztów obsługi długu publicznego, transformację energetyczną, wiele innych potrzeb. A my obniżamy podatki

Jaki?

Największym błędem była próba osłabienia złotego w grudniu 2020 roku. To było zupełnie niezrozumiałe. To była decyzja, która mogła trwale obniżyć zaufanie do polskiej waluty. A później doszła skandaliczna polityka komunikacyjna. Ben Bernanke, były szef Fed, powiedział niedawno ciekawe słowa, że dziś polityka monetarna to w 80 procentach słowa. To trochę przesada, ale dużo w tym racji. Komunikacja NBP jest prowadzona po pierwsze chaotycznie, po drugie arogancko. Prezes komunikuje się ze światem, jakby świat był dość głupawy i nie rozumiał procesów gospodarczych, zaś RPP to był klub najmądrzejszych ludzi na świecie. Nie do końca tak jest. Objawem tej postawy były obietnice składane na wiosnę

2021 roku, że nie będzie żadnych obniżek stóp przez rok. Albo tłumaczenie we wrześniu 2021 roku, że podnoszenie stóp to byłby szkolny błąd. Dlatego dziś NBP nie jest już w stanie poprzez komunikację słowną wpływać na rynek, na przykład na rynek walutowy.

To wypowiedziom Adama Glapińskiego zawdzięczamy tak wysoką inflację?

Też, natomiast nie jest to czynnik decydujący. Są ekonomiści, którzy uważają, że to był krytyczny czynnik podbijający stopy procentowe w Polsce, na przykład Wojciech Paczos. Rozumiem ten argument, ale nie wydaje mi się, by był to krytyczny czynnik w stosunku do czynników globalnych i przegrzania gospodarki w kraju.

Przegrzanej przez rząd?

Przez rząd, ale też przez czynniki, których nie mogliśmy łatwo kontrolować. Polska jako ważny producent dóbr przemysłowych doświadczyła potężnego globalnego wzrostu popytu na towary, wywołanego wzrostem konsumpcji i akumulacją zapasów. My nie za wiele mogliśmy z tym zrobić.

Z poprzedniego kryzysu wyszliśmy jednak suchą nogą. Może i tym razem będziemy „zieloną wyspą” (nie licząc inflacji)?

Nie sądzę. Różne czynniki wpływały na to, że nasza gospodarka przeżyła kryzys z 2008 roku lepiej, niż inne – w tym dwa kluczowe: początek potężnych transferów europejskich i słabo rozwinięty system finansowy. Dziś pod pewnymi względami jesteśmy silniejsi niż wtedy, ale z drugiej

strony patrząc na strukturę wstrząsów, jakie nas dotyczą, jesteśmy bardziej narażeni niż średnia światowa. Mamy do czynienia z zaostrzaniem się polityki monetarnej w USA, które zawsze negatywnie odbija się na rynkach wschodzących. Po

Różne czynniki wpływały na to, że nasza gospodarka przeżyła kryzys z 2008 roku lepiej, niż inne – w tym dwa kluczowe: początek potężnych transferów europejskich i słabo rozwinięty system finansowy

drugie, jesteśmy importerem energii. Po trzecie, jesteśmy blisko wojny, więc płacimy inwestorom premię za ryzyko, co znaczy, że musimy wyżej podnosić stopy procentowe niż inni. Wydaje mi się, że bez wojny przy stopach procentowych na poziomie 6 procent mielibyśmy dużo mocniejszą walutę i łatwiej byłoby nam ograniczać inflację. Wreszcie – mamy konflikt z Brukselą, który utrudnia nam pozyskiwanie funduszy europejskich. No i mamy cykl wyborczy, który sprzyja popytowi, ale wpływa negatywnie na wartość waluty. Węgry tuż przed wyborami wprowadzili masywne transfery i cięcia podatków, teraz płacą za to potężną dewaluacją waluty i podwyżkami stóp wyższymi niż w Polsce. Jeśli pójdziemy ścieżką węgierską, to będzie niewesoło.

Może jednak są czynniki, które mogą postawić nas w lepszej sytuacji?

Nie widzę ich zbyt wiele, choć gdybyśmy rozmawiali w 2008 roku to pewnie też nie przewidzielibyśmy, że będziemy „zieloną wyspą”. Pomóc mogą nam na przykład wydatki zbrojeniowe albo ewentualne przesuwanie się wyżej w łańcuchach dostaw spowodowane wycofaniem się inwestorów z Rosji i być może z Azji.

Nawet kanclerz Niemiec, który w 2021 roku mocno podkreślał konieczność inwestowania w Chinach powiedział, że firmy przemysłowe nie powinny wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka. Wiele firm może szukać sposobów, żeby się zdywersyfikować i mogą lokować swoje inwestycje w Polsce i Europie Środkowej. Pomóc mógłby nam też spadek cen surowców, którego nie wykluczam. Ale jest raczej więcej czynników przemawiających na naszą niekorzyść.

Wiele wskazuje na to, że czeka nas stagflacja, mamy do czynienia z szokiem podażowo-popytowym. Jak możemy temu przeciwdziałać?

Z tą stagflacją to spokojnie. O stagflacji będziemy mogli mówić, gdy doświadczymy recesji lub bardzo niskiego wzrostu gospodarczego, wzrostu bezrobocia, a inflacja się nie obniży – i to potrwa kilka kwartałów. Na razie mamy początek recesji.

Raczej zapowiedź, bo w I kwartale 2022 roku mieliśmy 8,5 procent wzrostu gospodarczego.

Tak, ale wiele wskazuje na to, że recesja jednak będzie. Obecnie, jeśli musimy wybierać, czy bardziej walczyć ze spowolnieniem wzrostu gospodarczego czy z in-

flacją, to uważam, że lepiej ratować w tym momencie stabilność cen, choć to nie jest łatwy wybór. Recesja potrafi trwale osłabić gospodarkę, więc nie należy podnosić stóp procentowych za wszelką cenę.

Niemniej nie kwestionuję, że trzeba podwyższać stopy procentowe, aczkolwiek powoli zbliżamy się do szczytu podwyżek. Jest problem z niezrównoważeniem polityki fiskalnej. Lepiej byłoby po prostu podnieść podatki, na przykład zlikwidować tarczę antyinflacyjną albo przynajmniej jej część.

W Polsce i na Zachodzie mamy bardzo niskie bezrobocie, o pracę jest łatwo, a mimo to nastroje konsumenckie są najgorsze w historii

Część tarczy antyinflacyjnej jest w istocie proinflacyjna.

Rozumiem obniżanie podatków na ciepło, ale nie rozumiem na przykład obniżenia podatku VAT na paliwo czy żywność

To jednak obniża ceny transportu.

Ceny paliwa są spowodowane czynnikami, które mogą mieć trwały charakter i my nie obniżymy ich na stałe. Jeszcze na początku roku można było twierdzić, że wzrost cen paliw jest czymś przejściowym – ale nie jest. Albo obniżka VAT na ceny żywności. Niby obniżamy w ten sposób ceny, ale de facto je podwyższamy poprzez stymulację fiskalną. Słuszne by-

łoby też wycofanie się z obniżki PIT, ale to jest niemożliwe.

Czy możemy wyciągnąć jakąś naukę na przyszłość z obecnej sytuacji?

Na lekcję jest jeszcze trochę za wcześnie. Ale dla mnie ważną informacją, która mnie zaskoczyła pod względem skali zjawiska, jest to, jak wielkim ciosem w na-

stroje społeczeństwa jest inflacja. W Polsce i na Zachodzie mamy bardzo niskie bezrobocie, o pracę jest łatwo, a mimo to nastroje konsumenckie są najgorsze w historii. Mimo że można by oczekiwać, że ludzie będą rozumieli, że jest to w jakiś sposób konsekwencja pandemii. Założenie, że jeśli utrzymamy niskie bezrobocie kosztem wysokiej inflacji to ludzie to zrozumieją, jest więc fałszywe.



STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca Dyrektora „Nowej Konfederacji”,
kierownik sekcji Publicystyki